

JOANNA KUŁAKOWSKA

Goście z pokoju obok

Wszedłem do salonu dokładnie w chwili, gdy dziecko przybiegło w podskokach z kuchni, nucąc piosenkę do wtóru telewizorowi. Miało ciemne włosy tak krótko ostrzyżone, iż najpierw pomyślałem, że to chłopiec, mniej więcej siedmioletni, ale śpiewający głos był wysokim i delikatnym dzwoneczkiem małej dziewczynki. [...] Wrażenie minęło, gdy zobaczyłem, jak zdeformowany jest jej brzuch. Wyglądał tak, jakby schowała w ogrodniczkach piłkę do koszykówki. Spoglądała na mnie, póki nie zauważyła, na co się gapię. Wówczas przystanęła na środku pokoju i zdjęła dzinsy i koszulkę. Była w ciąży.

Jonathan Carroll „Dziecko na niebie”

Czasoprzestrzeń kuli, którą uważamy za całokształt naszego kosmosu, jest w rzeczywistości tylko atomem prawdziwej nieskończoności, która jest ich udziałem.

H.P. Lovecraft „Szepczący w ciemności”

Porywisty wiatr bezlitośnie ograbiał drzewa z pożółkłej, postrzępionej szaty. Komisarz Małecki nie lubił na to patrzeć. Jesienne miesiące przyprawiały go o dreszcze. Cholernie brudna i ponura pora roku... Już wołał zimę. Dawne mroźne zimy, gdy wszystko stawało się białe, sterylne i oczywiste.

Wyrzucił niedopałek, po czym wbił go w ziemię obcasem. Wykonał to starannie, jak wszystko, do czego się zabierał, uważając, by przypadkiem nie zbrukać błotem ciężkich buciorów. Przyjrzał im się krytycznie. Czarne noski mogły swobodnie służyć za lusterka. Zadowolony z oględzin, zerknął na podkomendnych. Humor znów mu się popsuł.

Właściwie powinien dziś siedzieć na tyłku – biurko ugięło się pod stertą papierzysek wołających o uwagę tłustym czarnym drukiem lub czerwienią odręcznych notatek. Wołał jednak przewietrzyć się z „młodymi”. Ot tak, dla higieny psychicznej.

Pojechali w teren, bo zaginął jakiś pieprzony czubek. Kto, do ciężkiej cholery, puszcza takiego samopas?! Niby psychiatra zaklinał się na wszystkie świętości, że gość już wyleczony...

– Eee... Znaleźliśmy... ten, no... Coś. – Z miny posterunkowego Konara można było wnosić, że to „coś” obrzydliwego.

Małecki ożywił się.

– „Coś”, to znaczy co?

– Noo... Może by tak pan komisarz sam zobaczył...

Chłopak stropił się wyraźnie pod ciężarem spojrzenia przełożonego. Zakłopotany, w końcu utkwiał wzrok w czubkach własnych butów, czyszczonych stanowczo zbyt rzadko jak na gust Małeckiego.

Matko Boska, świat się kończy! „Może by tak pan komisarz sam zobaczył”. Ha! Oby nie pozacierali śladów. W dzisiejszych czasach już chyba nikomu nie można ufać, pomyślał z rosnącą irytacją komisarz. A najmniej kretynom tuż po szkoleniu.

Zapuszczony, niepozorny budynek dawnej kotłowni świecił pustkami. Pozostawiono go na łasce – a raczej niełasce – niszczącego czasu ponad dziesięć lat temu.

Nikt nie próbował ponownie zagospodarować pomieszczeń. Zdaniem Małeckiego, stanowiło to czyste marnotrawstwo i dowód niepojętej głupoty ludzkiej. Opuszczoną kotłownię w jego sąsiedztwie błyskawicznie wynajęto firmie doradztwa personalnego. Teraz pyszniła się eleganckim szyldem oraz odnowionymi ścianami. Te tutaj straszyły obleśnymi napisami i odpadającym tynkiem. Na pewno ściągały tu bandy wagarujących gówniarzy, bezdomnych i bandyterki wszelkiej maści. Miejsce aż prosiło się o historię godną zamieszczenia w programie „997”... Psychiatra Zdzisław Niedzielski twierdził, że zaginiony mógł udać się właśnie tutaj.

Wewnątrz budynku cuchnęło uryną. Po chwili oczy komisarza przywykły do półmroku. Jedyne dzięki nielicznym szczelinom w zabitych deskami oknach było cokolwiek widać. Rozejrzał się niechętnie. Z przyjemnością przywaliłbym temu konowalowi, myślał dalej policjant. Już wyleczony, tylko jeszcze na terapii przystosowawczej, akurat... Chłopak prawie pełnoletni... Pewnie Niedzielski polubił pacjenta i nie chciał pchać go do wariatkowa dla dorosłych. Jak nic wypuścili świra, cholera wie, może się na kogo rzucił albo kto na niego... Diabła tam, nie wiadomo, co gorsze w tej sytuacji.

Ponure rozważania funkcjonariusza przerwał drugi podkomendny, posterunkowy Suska. Siłą rzeczy dowcipni koledzy ochrzcili go Zuzką.

– W drugim pomieszczeniu – oznajmił dziwnie wątłym głosem.

Przełożony ruszył za nim, uważając, by nie wdepnąć w resztki rzygowin i stłuczone butelki.

– Proszę spojrzeć, panie komisarzy... Co to, kurwa, jest?! – wyskrzeczwał Zuzka zza przyciśniętej do nosa chusteczki.

Małecki sądził, że używanie materiałowych chustek to wstrętny zwyczaj. Zaszuszone gluty w kieszeni. Ohyda. Tym razem jednak wiele by dał nawet za zasmarkany kawałek płótna.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem... – stwierdził, walcząc z mdłościami. Bunt organizmu przydarzył mu się po raz pierwszy od czternastu lat. Od czasu, gdy ujrzał efekt próby zatuszowania skutków wyjątkowo intensywnej miłości rodzicielskiej. Przy pomocy piły.

– Wzywamy techników. Ten pojeb Kowalczyk będzie zachwycony. Na razie wychodzimy, zostawmy to...

...nagie i bezbronne, zadumał się Paweł, zawieszając wzrok na drzewach ogałacanych przez wiatr. Nie mógł pozbyć się głupiego wrażenia, że wznoszą ku niebu gałęzie w bezzadnym geście.

Patrzył, jak liście tańczą w powietrzu, by w końcu opaść powoli na ziemię. Kruchy całun otulający wspomnienie lata... Niezła metafora życia, orzekł drwiąco. Czysta, zasrana poezja.

Jeszcze nie tak dawno pisał smętne, pretensjonalne wierszydła w ramach dodatkowej terapii sztuką. Terapeutka, nawiedzone, tłuste babsko gustujące w pastelowych golfach, oznajmiła, że „ubieranie w słowa ulotnych odczuć to konfrontacja z własnym ja”. Czy coś w tym stylu...

O tej porze roku często łapał doła.

Dzieciarnia raczej nie podzielała jego nastroju. Rozwrzeszczana hałastrą wyległa właśnie ze szkoły i rozlała się kolorową falą po całym parku Morskie Oko. Przyglądał im się przez moment, a potem skierował spojrzenie na podniszczone mury podstawówki. Nie wyniósł stąd najmielszych wspomnień. Doktorek uznał jednak, że spacer po starych śmieciach pomoże uporać się z traumatycznymi wspomnieniami. Tia... Z drugiej strony nie miał nic lepszego do roboty. Pogapił się dłuższą chwilę, po czym odwrócił zdecydowanie. To szkoła, a nuż-widelec uznają go za pedofila? Wyobraził sobie, jak tłumaczy się na policji, i parsknął śmiechem. A to dobre: wariat-pedofil.

Dokąd teraz? Niedzielski chciał, żeby zerknął do dawnej kotłowni, o ile wciąż można się tam dostać, ale „oczywiście w towarzystwie kogoś zaufanego”. Jaaasne... Może jeszcze z tym zbirem Dworakiem albo z tą kretynką siostrą Łapińską? Wcale mu nie brakowało ich obecności. Kotłownia kusiła, a zarazem odpychała... Cokolwiek jednak zdecyduje, na pewno nie chwyci matki za spódnicę ani nie skorzysta z towarzystwa nadgorliwych pajaców. To dość daleko. Po kiego grzyba leżać właśnie teraz, zastanawiał się Paweł, grzebiąc czubkiem buta w burych liściach. Co mi to da? Z drugiej strony może doktor ma rację... Ty tchórze, powinieneś spróbować, przekonywał sam siebie. I co...

...robisz w portki, śmieciu? – zapytał Alek Woźniak i zachichotał.

Bawił się znakomicie, zaciskając palce na dorodnej, pękatej dżdżownicy, która usiłowała wymknąć się z potrzasku. Pawełkowi nie było do śmiechu. Skulony, patrzył z lękiem, jak stworzenie wije się w dłoni

starszego chłopca. Zaledwie kilka chwil wcześniej szarpał się rozpaczliwie, wleczony przez kolegów do starej kotłowni. Powiedzieli, że już go lubią, skusili obietnicą fajnej zabawy, więc chętnie wsiadł z nimi do tramwaju, nie zastanawiając się nawet, w jaki sposób wy tłumaczy rodzicom spóźnienie. Kiedy próbował wyslizgnąć się prześladowcom, zapewne wyglądał jak ta dżdżownica...

Chłopak zbliżył rękę do twarzy Pawła. Ten odwrócił głowę ze wstrętem, lecz i tak poczuł lepki, zimny dotyk paskudztwa. Nie zdołał powstrzymać okrzyku. Dzieciaki zarechotały.

– Ale wielki, tłusty robal... – westchnął z podziwem piegowaty Darek. – Gdzieś ty takiego znalazł?

– No a niby gdzie? W ziemi, głupku! – parsknął Alek.

Wyprostował się na całą imponującą wysokość dziesięcioletniego przywódcy dziewięciolatków. Najstarszy i najsilniejszy w klasie. Nikt mu nie podskoczy.

Gleba była wciąż wilgotna po deszczu i dręczyciele nie mieli kłopotów z wyszukiwaniem żywych narzędzi tortur.

Darek się nie obraził. Sam z siebie wiedział, że nie jest równie dobry jak reszta. I gruby, i niezbyt bystry... Tryskał radością, gotów pisać z zachwytu nad każdym pomysłem i każdą odzywką „wodza”, bo wreszcie pozwolono mu dołączyć do bandy. Jego piegi stały się wyraźniejsze, gdy pokraśniał z dumy, że go dostrzeżono. Wszystko układało się wprost cudownie, odkąd do szkoły przyszedł ten nowy. Beksa. Strachliwe chuchro. Głupi śmieć.

„Głupi śmieć” wtulił się w ścianę, marząc o zniknięciu, wtopieniu się w nią... Zaraz jednak oderwał plecy od chłodnego muru. To, co chowało się w ścianach, było gorsze niż wszystkie oślizgłe robale świata. Gorsze niż ciemność.

W pomieszczeniu nie było zbyt ciemno, mimo to panika czaiła się w głębi jego umysłu, gotowa wyskoczyć jak diabełek z pudełka-niespodzianki. Miesiąc temu dostał ataku hysterii, gdy zamknięto go dla zabawy w pakamerze. Winnych oczywiście ukarano; ich rodzice stawili się w gabinecie dyrektorki.

Od tej chwili dzieci nie dawały mu spokoju.

– Patrzenie, jak się trzęsie! – wypalił Darek, zdecydowany przypodobać się za wszelką cenę. – Jeszcze zemdleje! Hi, hi!

– Grubas ma rację. – Szef bandy pogardliwie wyduł wargi. – A przecież on nie może zemdleć... – Uśmiechnął się paskudnie. – Najpierw musi zjeść robaka!

– To nie robak, tylko dżdżownica... To chyba nie to samo – rozległ się niespodziewanie cichy, obcy głos.

Wszyscy na chwilę zamarli z wrażenia. Potem drzwi zaskrzypiały, a w półmrok kotłowni wdarł się promień słońca. W plamie światła zamajaczyła drobna sylwetka. Pawełek dostrzegł krótkie dzinsowe spodnie, posiniaczone kolana i gruby brązowy warkocz z wplecioną weń zieloną wstążką.

– Mielicie zamknąć drzwi – warknął Alek ze złością. Tym większą, że „robalowi” udało się wyslizgnąć na wolność. Spojrzał na dziewczynkę. – Co tu robisz?! Spierdaj do domu, gnojowo! Ale już! Albo stłukę na kwaśne jabłko!

– Właśnie! – poparł go jeden z chłopców. – Won stąd, bo oberwiesz, gówniario!

– Nie pozwalaj sobie, gnoju! – syknął Woźniak, odwracając się gwałtownie. – Nie mów tak do mojej siostry, bo cię skopię!

Dziewczynka nie zwróciła na to wszystko uwagi. Stała nieporuszona, jakby wymiana zdań nie dotyczyła jej w najmniejszym stopniu. W prawej dłoni, niby od niechcenia, ot tak, zupełnym przypadkiem, ścisnęła półówkę cegły. Patrzyła na Pawełka. On również zerknął ostrożnie w jej stronę. Oczy pod kasztanową grzywką były wielkie i ciemne. Uśmiechnęła się lekko, kpiąco.

– Dlaczego im nie dołożysz? – spytała z pogardą. – Przecież to żadna sztuka. Widzę, że nie jesteś sam. Mógłbyś chociaż spróbować.

– Agniecha, co ty pleciesz? – wydukał osłupiały brat. – Pocięło cię?

Paweł nie mógł oderwać wzroku od Woźniakówny. Czerń w jej oczach zgęstniała i ożyła. Na dnie przepastnych źrenic coś się poruszyło.

Rozmazany kształt przemknął błyskawicznie wewnątrz szarej ściany. Przypominała teraz na wpół przejrzysty kryształ, choć przecież tak naprawdę nadal była tylko zwykłą ścianą... Mrok ścielący się po kątach zaczął delikatnie pulsować.

Zamknął oczy, ale nie pomogło. Zaczął krzyczeć.

Krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć...

...do utraty tchu, lecz potem wcale nie było lepiej.

Rozpoczęło się niewinnie. Od kolorowych światełek. Tak je nazywał – „świąteczka”.

Miał cztery latka i zapalenie płuc, dlatego mama uznała jego mamrotanie za gorączkowe majaki. Świąteczka były sprytne. Gdy wchodził ktoś z domowników, chowały się za szafę albo umykały do pokoju obok. Świąteczka były też miłe. Dotrzymywały mu towarzystwa, wirując dookoła w feerii barw.

Później odeszły i zaczął dostrzegać kształty. Nie umiał inaczej ich nazwać. Wcale mu się nie podobały.

Powracały nieustannie, nawet kiedy już wyzdrowiał, miał chłodne czoło i normalny apetyt.

Skończył już dziewięć lat i nadal, gdy leżał nocą w swoim łóżku, czuł każdym porem skóry, że mrok zaciska się wokół niego jak palce okrutnego dziecka na dżdżownicy. Wypełza spod zasłon, kłębi się w rogach pokoju, pulsuje własnym, nieodgadnionym rytmem. Puls krwi wielkiego, obcego organizmu. Rytm monstralnego serca. Czasem nie mógł oprzeć się wrażeniu, że spoczywa, mały i skulony, w wiecznie głodnym, rozedrganym wnętrzu. Najgorsze było to, że kiedy trząsał się ze strachu, popłakując i z trudem powstrzymując rozpaczliwy dziecienny wrzask: „Mamusiu!”, jakaś jego cząstka uspokajała się, a nawet radowała kojącym, miarowym oddechem potwora. Nigdy nie wołał matki. Dużi chłopcy tak nie robią.

Czasami role się odwracały. Zdawało mu się, iż to czai się wewnątrz i czeka na okazję. Na jaką? Tego nie wiedział. Z całych sił zamykał oczy. Wyobrażał sobie przyjemne rzeczy, by przywołać sen, ale nie pomagało. Coś poruszało się wewnątrz jego ciała, jego własnej czaszki, uwięzione za barierą kurczowo zaciśniętych powiek.

Ściany odsłaniały wiele sekretów lekceważonych przez dorosłych. Och, nie stawały się przezroczyście. Przynajmniej nie całkiem. Przypominały bursztyn, w sposób, którego nie rozumiał, zachowując jednocześnie właściwą sobie barwę i strukturę. Jednak to, co w nich widział, nie wyglądało na uwięzionego owada. I nie było uwięzione. Mogło przenikać przez pomieszczenie, nie licząc się z nikim i niczym, lub przemykać się ukradkiem, dostrzegalne jedynie kącikiem oka.

Ściany pozwalały mu zajrzeć w głąb czegoś nienazwanego. Dostrzegał stwory czające się w środku, a zarazem gdzieś bardzo daleko. Daleko poza tym pokojem...

...nic nie ma. Tam nic nie ma, dziecko – powtórzyła łagodnie dziewczyna w białym kitlu.

Przestał krzyczeć, chociaż wcale jej nie uwierzył. Zresztą i tak bolało go zdarte gardło. Wrzask nie powstrzyma stworów. Niestety, nikt inny ich nie widział. Młoda kobieta mówiła coś dalej i zrobiła mu zastrzyk. Nie protestował. To nie lekarstw się obawiał. Przynajmniej zasypiał po nich bez kłopotu.

Lekarka była bardzo miła. Przyniosła cukierki. Nie miał ochoty, ale sięgnął po jednego, by zrobić jej przyjemność. Uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu. Wiedziała już, że nie znosi głaskania po głowie. Chwilę później zasnęła...

...i nie miał żadnych snów? – zainteresował się doktor Niedzielski.

– Tak twierdzi – mruknął Dworak.

– Ale w nocy zachowywał się spokojnie?

– Nie sprawiał żadnych kłopotów. Mogę już wracać do pracy?

– Tak, wracaj pan...

Niedzielski w geście roztargnienia przejechał palcami po rzadziejących, siwych włosach. Spoglądał przez moment za odchodzącym pielęgniarzem. Ten to dopiero miał bujną, jasną czuprynę... Ech, młodość... Gdzie ty jesteś, kiedy się ciebie potrzebuje? – zadumał się z goryczą. Czas iść do dzieciaka.

„Dzieciak”, czyli Paweł Chrzanowski, stanowił ciekawy przypadek i jak wszystkie ciekawe przypadki należał do wyjątkowo skomplikowanych. Pierwsze symptomy chorobowe wystąpiły w wieku przedszkolnym, ale jak to zwykle bywa, rodzice zbagatelizowali objawy. Halucynacje zostały uznane za wybujałą wyobraźnię, a potem za chęć zwrócenia na siebie uwagi. Sytuacja pogorszyła się, kiedy posłano go do szkoły. Lęk przed ciemnością, a także omamy wzrokowe i kinestetyczne przybrały na sile. W pełni objawiła się typowa dla psychotyków niemożność dostosowania się do otoczenia, a dzieci niczego mu nie ułatwiały... Niewielu nauczycieli zdaje sobie sprawę, jakim okrucieństwem potrafi wykazać się egoistyczny potwór zwany dzieckiem. Szkolna psycholożka stwierdziła nerwicę szkolną, klasyczną fobię przed ciemnością, dorzuciła jeszcze podejrzenie o klaustrofobię... Dopiero reakcja chłopca podczas zabawy w opuszczonej kotłowni dała jej nieco do myślenia, ale było już za późno. Według opisu przerażonych

kolegów zaczął wyc jak zwierzę, toczyć pianę z ust i tarzać się po ziemi. Kiedy przyjechało pogotowie, Paweł leżał nieprzytomny, pilnowany przez siostrę jednego z chłopaków.

Trafił do szpitala na Sobieskiego, na psychiatryczny oddział dziecięcy, gdzie przeleżał w szoku kilka dni. Lekarze podejrzewali traumę pourazową, gdyż szereg badań nie wykazał uszkodzeń mózgu. Wrócił wprawdzie do domu, lecz w końcu trafił do zakładu w Tworkach, gdzie zajął się nim doktor Niedzielski.

Doktor wykluczał psychozę organiczną i maniako-depresyjną. To ostatecznie mogła być psychoza funkcjonalna, jednak według rodziców mały z pewnością nie przeżył nic drastycznego. Czyżby parafrenia? Niedzielski zaczynał gonić w piętę. Na szczęście Chrzanowska była nad wyraz skłonna do współpracy, chociaż bagatelizowała problem. Lekarz wcale się temu nie dziwił – choroba jedyne dziecko odciska się piętnem na całym życiu, więc kobieta uciekła w złudzenia. Ojciec uciekł bardziej dosłownie. Dobrze przynajmniej, że nie wpadli na pomysł zabrania chłopaka ze szpitala.

Czasami Paweł wydawał się niemal zdrowy. Wysyłano go wtedy do domu albo do sanatorium. W zeszłym miesiącu wyjechał na małą wycieczkę pod opieką rodziców. Matka była pewna, że wyprawa przebiegnie gładko, jednak dostał kolejnego ataku i musiał wrócić.

Zdzisław Niedzielski po raz pierwszy nie miał pojęcia, co robić. Pozostawało przeprowadzać obserwacje, próbować kolejnych specyfików, wspomagać proces farmakologicznego leczenia terapią psychologiczną, no i mieć nadzieję, że...

...wszystko się jeszcze ułoży. Zobacysz... – szepnęła pocieszająco.

Paweł wiedział, że matka oszukuje i jego, i siebie. Uśmiechała się, lecz miała zaczerwienione oczy. Zmarszczki w kącikach ust, kierujących się ku dołowi jakby siłą bezwładu... Nie było ich przedtem.

– Wiem, mamo. Szkoda, że musieliśmy wrócić.

– Nie przejmuj się! W przyszłym roku pojedziemy w góry.

Miał ochotę powiedzieć, że to nie najlepszy pomysł, że ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę i że nie musi go okłamywać, bo nie jest już dzieckiem. Zamiast tego wyszczerzył zęby w radosnym grymasie. Zaczęli paplać coś pozbawionego sensu. Chciał, żeby wreszcie sobie poszła. Żeby wszyscy poszli do diabła.

– Muszę już iść, kochanie. – Pogłaskała go po głowie. Jakże on tego nienawidził... – Zajrzę jeszcze do doktora Niedzielskiego. Ojciec przyjdzie w przyszłym tygodniu, jak wróci z delegacji. Wiesz, jest teraz we Frankfurcie i...

Już to słyszałem, mamo, możesz sobie darować, pomyślał, kiwając głową ze zrozumieniem. Gdyby był na miejscu ojca, też miałby go dość. „Pan biznesmen” wstydził się synka świrka. Hej, cześć, stary! Jak tam rodzina? Świetnie, byłem u syna, jest u czubków, wyzłośliwił się Paweł. O! To świetnie! No to do zobaczenia.

– No to do zobaczenia, mamo.

Pocałowała go w czoło i wyszła.

Z ulgą przymknął oczy. Kroki matki niesły się echem po korytarzu. Po chwili ucichły. Chciałby stąd wyjść, ale po co? Żeby znowu wrócić? Skrzypnęły drzwi, wyrwyjąc go z zadumy. Siostra Łapińska próbowała nawiązać z nim ciepłą pogawędkę. Upierdliwe brzęczenie tłustej muchy. Wyjść stąd... Wynoś się, głupia suko, pomyślał, odpowiadając monosylabami. Pulchna kobieta westchnęła, demonstracyjnie pokręciła głową i postawiła na stoliku szklankę z przejrzystym żółtawym płynem. Oczywiście, by okazać swe zranione serce, stuknęła głośno naczyniem, niemal rozchlapując zawartość. Głupia suka. Wypił posłusznie, nie chcąc przedłużać jej obecności. Po chwili również i jej kroki ucichły. Przycisnął twarz do szyby, była chłodna i przyjemna, mimo że na zewnątrz grzało popołudniowe słońce. Mucha wciąż bzycała. Rozpaczliwie odbijała się od niewidzialnej przeszkody. Ty też tu zostaniesz, stwierdził mściwie. Rozejrzał się po pokoju. Na szczęście mieszkał w nim sam. Obrzydliwa kremowa tapeta. Chyba miała uspokajać. Poczytać książkę? Nie. Zejść do ogrodu? Do świetlicy? Nie miał ochoty ani oglądać telewizji, ani z nikim gadać. Czując totalną rezygnację, położył się do łóżka. Niedługo potem zmorzył go sen.

Kiedy się ocknął, zapadł już zmierzch. Zdziwił się. Nikt nie przyszedł i nie wcisnął mu wieczornej porcji leków? Nie kazał włożyć piżamy? Drżącą ręką zapalił lampkę nocną. Nie znosił ciemności. Delikatny blask rozproszył cienie, uspokajając go nieco. Wzruszył ramionami i wstał, decydując się podejść do szafy, aby wygrzebać sobie coś bardziej odpowiedniego do spania. Drzwi obite białym laminatem uchyliły się bezgłośnie. Paweł zmartwiał. Wokół panowała absolutna cisza. Nie słyszał nawet odległego pogłosu rozmów pielęgniarki, do którego tak już zdążył się przyzwyczaić, że nie zwracał nań zupełnie uwagi.

Dopóki był słyszalny. Wciągnął głęboko powietrze, wcisnął głowę w ramiona, oczekując znajomego pulsowania i obcego dotyku na spoczonej skórze. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Roześmiał się nerwowo, po czym ruszył w kierunku mebla. Wtedy zobaczył blade palce zaciśnięte na krawędzi drzwi. Cofnął się z powrotem do łóżka. Drzwi otworzyły się całkowicie. Palce zmieniły się w całą rękę, za którą podążyło ramię, a po chwili oczom Pawła ukazał się rozczochrany chłopak. Chudy, ciemnowłosy wyrostek o przyszczatej twarzy i ponurym spojrzeniu. Ponurym spojrzeniu Pawła Chrzanowskiego. Zbyt często spoglądało nań z lustra.

– Musiałem przyjść do ciebie, bo ty nie chcesz przyjść do mnie – powiedziała zjawa. – Nigdy mnie nie słyszysz.

Paweł gapił się osłupiały. Gdzieś w głębi jego trzewi narastała panika. Zarazem chciało mu się śmiać. To nie były światełka ani stwory ze ścian. Nic, co znał.

– Czego chcesz? – zapytał, bojąc się zadać inne pytanie, które cisnęło mu się na usta: Kim jesteś?

– Nie wiem – wyszeptał sobowtór z rozpaczą. – Wypuść mnie stąd...

Ściany zawibrowały, a mrok wylał się czarną strugą ze wszystkich stron. Coś zimnego musnęło jego kark niczym dziwna, niezgrabna pieszczoła. Wiedział, że to jest tuż za nim. Zbyt duże, by przedostać się w całości.

– Wypuść mnie stąd! – zawył. – Wypuść...

...mnie stąd! – wrzeszczał histerycznie Michał, tłukąc pięściami w drzwi.

Dworak nie zamierzał się patyczkować. Chwycił go wpół łapskiem jakby żywcem wyjętym z komiksu i uniósł bez widocznego wysiłku. Drugi z pielęgniarzy natychmiast unieruchomił ramię chłopaka i wbił w nie igłę. Michał szamotał się jeszcze chwilę, krzycząc coś ze strachem, po czym zwiotczał. Wyglądał bezradnie i żałośnie przy ogromnym Dworaku, który zadziwiająco łagodnie wziął go na ręce i ruszył w kierunku izolatki.

– Co się stało? – zainteresował się Paweł, spoglądając w ślad za nimi.

Siostra Ewa wzruszyła ramionami.

– To co zwykle – westchnęła. – Chyba przeniosą go do... innego miejsca – dokończyła ostrożnie.

Paweł nie zamierzał się dopytywać.

– Jak tam terapia? Jesteś zadowolony?

Nie.

– Tak – skłamał gładko.

Po ataku sprzed pół roku postanowił wytrzymać. Znalaziono go wijącego się w łóżku, drącego się gorzej niż kot obdzierany ze skóry. Tłumaczył, że to nie był zwykły koszmar. Zabrano go do izolatki. Wciskano mu jakieś paskudztwa, po których trząsł się bez przerwy, a przed oczami latały mroczki. I wszyscy byli tacy, kurwa ich mać, zmartwieni, że nic mu nie pomaga. Nikt nie chciał wierzyć, a on czuł, czuł, że wszystko, co widzi, dzieje się naprawdę. Wtedy wróciły światełka i znów tańczyły dookoła, lśniąc kolorami nie do opisanania.

Nauczył się patrzeć i nie odwracać głowy. Nie dał się już, nie trząsł, ba, nawet nie drgnął, kiedy kształty przenikały przez pomieszczenie, znikając gdzieś daleko poza znanym mu pokojem. Gdy muskały go leciutko, a w tym czasie inne budziły się tuż za jego oczami, wyglądając na świat niczym oknem...

– Doktor Niedzielski chciałby cię widzieć po obiedzie.

– Dobrze. Siostrze...

– Tak? – Odwróciła głowę, zatrzymując się w pół kroku. Poprawiła złośliwy czarny lok, wiecznie opadający na czoło. Wyglądała na zmęczoną. Jedyna pielęgniarka, którą zdołał polubić.

– Czy ten chłopak ma tak często? Co mu właściwie jest?

– Schizofrenia paranoidalna. Jest zbyt ciężkim przypadkiem, żeby zostać w tym budynku, niestety...

– Rozumiem. A jak mu się poprawi?

– To może zostanie.

Skinął głową. Siostra Ewa podreptała korytarzem.

Po obiedzie siedział w gabinecie Niedzielskiego i odpowiadał na durne pytania, zastanawiając się, czy facet tylko udaje Greka, czy naprawdę daje się wpuszczać w maliny. Miał nadzieję, że to drugie. Jakoś nie marzył, by znaleźć się w „innym miejscu”.

– Nazywasz się Paweł, prawda?

Chłopak drgnął. Odwrócił powoli głowę. Na podłodze w rogu pokoju, obejmując ramionami kolana, siedział wymizerowany, niski chłopiec o ognistorudej czuprynie. Michał.

Przecież zamknięto cię w izolatce, pomyślał skonsternowany Paweł. Jak się tu znalazłeś?

Miał wielkie, szare, smutne oczy.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

– Nie... Właściwie nie... Jak się tu znalazłeś?

– Mam schizofrenię – odparł Michał i nieoczekiwanie parsknął śmiechem. Potem otarł rękawem zasmarkany nos.

– Taaak... To już wiem. Wypuścili cię? W takim razie dlaczego nie śpisz? Nie wzięłeś prochów?

– Wypuścili? Nie. Ciągle tam jestem. Teraz śpię. Chyba.

O rany. Tego mi tylko brakowało. Mam własne problemy, dodał w duchu z niechęcią.

– Chyba raczej nie śpisz i chyba jesteś tutaj, a nie tam. Wiesz co? Jednak zawołamy kogoś.

– Lepiej nie.

– Dlaczego? Nie powinienes tu spać. Rano będzie awantura.

– Już ci mówiłem, że śpię. Nie wołaj nikogo, bo ciebie też zamkną. – Michał uśmiechnął się chytrze. – Bo mnie tu nie ma.

Paweł rozejrzał się ostrożnie. Dzieciak był od niego młodszy i drobniejszy, ale nigdy nic nie wiadomo. Widywał już chuchra, które rzucały się pielęgniarzom do gardeł. Co mogłoby służyć za broń? W pokoju były stolik, dwa krzesła, szafa, szafka, zapalona lampka nocna z idiotycznym fioletowym abażurem... Niestety, przykręcona. Półka z książkami. Książek szkoda... Jakby co, chwyci krzesło i rąbnie świra po łbie.

– Nie wierzysz mi? Oni mówią, że jestem chory, a ja po prostu zaglądam do różnych pokoi. W niektórych jest okropnie. – Chłopak zatrząsł się i spojrzał w twarz Pawła z nieklamany lękiem. – Okropnie...

Coś w spojrzeniu Michała zaintrygowało go. Wbrew początkowym zamierzeniom nie przerwał mu tyrady. Zaczął uważnie słuchać.

– To tak jak z chodzeniem do kogoś w gości. Z domu przecież możesz wychodzić. Do nas też czasem przychodzą goście. Przechodzisz przez drzwi i idziesz. – Zachichotał. – Potrafię przechodzić, ale nie do końca. Stoję na progu i patrzę. Ale teraz nie widzę drzwi do innego pokoju... – Podniósł bezradnie ręce do twarzy. – Utkwiłem... Nie dotykaj mnie, niczego byś nie poczuł. Nie ma mnie tu tak naprawdę. Kiedyś nauczę się przechodzić całkiem i stąd odejdę. Ale nie tam, gdzie są te obrzydlistwa... – Zatrząsł się ze wstępu. – Chociaż będzie ciężko takie miejsce znaleźć. One czasem są w wielu pokojach naraz. Jeśli chcesz, zabiorę cię wtedy ze sobą. One chodzą wokół ciebie cały czas... A ty nie widzisz... A może jednak widzisz?

Pawła przeszedł dreszcz. Chciał krzyknąć, żeby głupi gnojek przestał, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Widzisz? – W oczach chłopca zalśniło gorączkowe zainteresowanie. – Powiedz, widzisz?

„Widzisz?”, odbiło się echem w skolatanym umyśle. „Widzisz?”, wyszeptano coś w głębi jego głowy. „Widzisz? Nie jesteś sam”, powiedziała Agnieszka Woźniak, bawiąc się zieloną wstążką. Coś wewnątrz niego otworzyło szeroko oczy. Patrzyło i widziało.

Drobny chłopiec zbłądł i cofnął się szybko. Nie dość szybko. Otoczyły go ciemne kształty. Paweł spostrzegł, że kremowa ściana za plecami Michała nabiera charakterystycznej głębi. Stwory wciągnęły go do środka. Usiłował chwycić dzieciaka ręką, żeby... choć kawałeczek... wypuść mnie, wypuść... Wił się z głodu. Już czas. Chciał wyjść na zewnątrz. Dusił się z ciasnoty, lecz był zbyt słaby. Miarowe pulsowanie. Bicie wielkiego serca. Po drugiej stronie drzwi zabrzmiały zdenerwowane głosy. Tupot nóg. Wszystko...

...nagle ucichło. Skończyło się jak nożem uciął. Tak po prostu. Paweł miał nadzieję, że to koniec raz na zawsze.

Zdzisław Niedzielski uznał, że nastąpił przełom, i był dobrej myśli. Pewnego wieczoru chłopak podsłuchiwał rozmowę pielęgniarek. Mówiły, jak to nigdy nic nie wiadomo: jeden pacjent nieoczekiwanie umiera, a drugi – zdrowieje pomimo nikłych szans.

Michał umarł. Ciekawe dlaczego? To była cholernie dziwna historia. Chłopiec zmarł podczas snu. Po uspokajających lekach, które mu zaaplikowano, teoretycznie nic takiego nie miało prawa nastąpić. Jak się okazało – tylko teoretycznie. Czasem wydawało mu się, że tamtej nocy, gdy rudzielec umarł, coś się wydarzyło. Coś z udziałem i jego, i Michała... Ale nie mógł sobie nic przypomnieć. Zostało tylko nieokreślone wrażenie lęku, dusznego zamknięcia, a potem ogromnej kojącej obecności. Na pewno jednak

nie miał ataku – nikt nie faszzerował go przecież dodatkowymi prochami. Rankiem obudził się rześki i wypoczęty. Wszystko było jakieś inne. Jaśniejsze. A później dowiedział się, że dzieciak nie żyje...

Od dłuższego czasu nie widywał już obcych kształtów w przejrzystych, głębokich niczym jeziora ścianach. Tym razem nie udawał. Doktor Niedzielski sądził oczywiście, że taki stan trwa już od wielu miesięcy. Paweł tak naprawdę nie wierzył do końca w swoje cudowne wyleczenie, ale może... choć przez kilka miesięcy... kto wie...

Rozsiadł się wygodnie na ogrodowym krześle i przymknął oczy. Wiatr był chłodny, ale słońce przyjemnie prażyło. Nie przepadał za jesienią, lecz ten dzień zapowiadał się całkiem sympatycznie. Usłyszał śmiechy i strzępy rozmów dziewczyn, pensjonariuszek z sąsiedniego budynku. Teraz siedziały całkiem blisko. Zastanawiał się leniwie, czyby do nich nie podejść. Decyzję uniemożliwiła mu siostra Ewa, wołając go do Niedzielskiego. Z wyrazu jej twarzy domyślił się dobrych wieści. Czyżby doktor zamierzał go puścić do domu?! Podekscytowany, ruszył przed siebie wysypaną żwirem ścieżką. Zbliżał się już do wejścia, gdy dźwięczny głos zawołał go po imieniu. Spojrzał w bok i zamarł kompletnie zaskoczony. W wypielegnowanym klombie, wśród kolorowych kwiatów, stała dziewczynka o wielkich ciemnych oczach. Bawiła się od niechcienia zieloną wstążką wplecioną w piękny, gruby warkocz. Uśmiechnęła się lekko, kpiąco. Poczul, jak zimny pot spływa mu po kręgosłupie. To niemożliwe. Zacisnął powieki. Po prostu podobna. Jaka podobna. Cholernie podobna. Chciał coś powiedzieć, lecz kiedy otworzył oczy, dziecka nie było. Wiatr poruszał delikatnie główkami purpurowych, niebieskich i białych astrów. Patrzył tępo. Nikogo nie było.

– Paweł! Pospiesz się! Doktor nie będzie pół dnia na ciebie czekał!

Łapińska. Stara, tłusta prukwa.

– Idę! Już...

...idę. Wejdę tam. Nie jestem tchórzem.

Łatwiej postanowić, niż zrobić. Poobijane, nadgryzione zębem czasu drzwi zarazem kusiły i odpychały. Niepewnie wbił wzrok w ziemię. Błoto. Żałosne resztki poźółkłej trawy. Jeszcze dwa tygodnie temu był w szpitalu i mógł do woli siedzieć w ogrodzie, gdzie kwitły jesienne kwiaty. Ojciec odszedł. Matka próbowała nie wypuszczać go z domu. Po cholerę w ogóle chciał wyjść? Tu czy tam. Wszystko jedno. No... prawie. Zacisnął zęby. Nie po to zbajerował rodzicielkę, żeby teraz odejść z kwitkiem. Niedzielski mógł mieć trochę racji. Powinien spojrzeć na jedno z najgorszych miejsc zapamiętanych z dzieciństwa, przekonać się, że to tylko zwykła rudera. I robi to właśnie teraz. Sam.

Każdy krok rozciągał się w nieskończoność. Mała, prywatna wieczność zamknięta w kilku sekundach. Niepewnie musnęła dłonią blachę. Zdziwił się przelotnie, że nikt nie wyjął drzwi z zawiasów. Podobno dziwniejsze rzeczy już kradli. Za to ktoś urwał kłódkę, więc mógł swobodnie wejść. Wewnątrz było... pusto. Po prostu pusto. I jakoś tak zwyczajnie. Tyle że wprost niemożliwie śmierdziało. W kącie leżały poszarpane szmaty, walały się butelki i resztki nie wiadomo czego. Wypuścił zbyt długo wstrzymywane powietrze, a potem roześmiał się z ulgą, choć tak naprawdę był bliski płaczu. Sam nie wiedział dlaczego.

Podszedł do zabezpieczonego solidną dechą okna. Wsłuchał się w szmer przytłumionych ulicznych dźwięków. To tutaj Alek Woźniak wciskał mu do ust dżdżownicę. Głupi skurwiel. Zabiłby go, gdyby mógł... To tutaj odczuł przerażającą obecność, która pozbawiła go zmysłów. Po raz pierwszy to zbliżyło się tak bardzo. Czy było tylko halucynacją? Pragnął, żeby tak właśnie się okazało, ale instynktownie wątpił pomimo setek wyjaśnień doktora. Co się stało z Michałem? Dlaczego myśl o nim wciąż powracała? Pytania, pytania... Przycisnął czoło do drewna. Wiedział, że obok znajdują się kolejne drzwi. Zajrzy jeszcze do drugiego pomieszczenia i pójdzie do domu. Nie miał tu czego szukać.

W następnym pomieszczeniu panowała ciemność. Zawahał się. Nigdy nie przestał się jej obawiać. W końcu jednak postąpił krok do przodu.

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Został sam, otoczony przez mrok, czując, jak ów zaciska się wokół niego – jak niegdyś. Jak palce okrutnego dziecka na dżdżownicy. Chciał wrzasnąć niczym blondynka w kiepskim horrorze, lecz ręka strachu skutecznie ścisnęła go za gardło. Wtedy mury kotłowni znów zmieniły się w szary bursztyn, rozjaśniając ciemność. Kształty poruszyły się ostrożnie, falowały wokół niego z subtelną, groźną gracją koralowców na dnie obcego oceanu. Jedna ze ścian wybrzuszyła się lekko – ktoś napierał z drugiej strony. Resztką świadomości Paweł odnotował, że ciepły strumień spływa po wewnętrznej stronie uda, wycieka nogawką i tworzy sporą kałużę wokół butów. Drobnitka figurka zza szarej tafli spróbowała ponownie.

Tym razem otrzymała pomoc. Paweł parsknął histerycznym, obłąkańczym rechotem. Ponad małą dziewczynką górowała olbrzymia postać. Olbrzymie coś.

Stworzenie przeżyło ogromne, lśniące pierścienie. Na giętkich „szypułkach” kołysało się tysiące fasetowych oczu, migoczących niczym wyszlifowane brylanty, wpatrując się wprost w niego. Chłopak ujrzał swe odbicie, zwielokrotnione, pomnożone do niewyobrażalnej liczby. Jedno z setek masywnych odnóży przeniknęło na zewnątrz i pomknęło ku niemu. Następnie pchnęło napiętą błonę, którą stała się niegdyś solidna ściana. Pierwsze musnęło łagodnie kark Pawła, po czym oplotło go wokół talii i zaczęło ciągnąć ku reszcie gigantycznej istoty. Wreszcie dał radę krzyknąć, ale dźwięk, który wydobył się z jego ust, zabrzmiał żałośnie słabo. To, co do niedawna stanowiło mur, pękło z odgłosem przypominającym pyknięcie mydlanej bańki. Agnieszka Woźniak spojrzała na niego z wyraźną pretensją.

– No i po co to wszystko? Nie wiesz, że robisz Matce przykrość? – Potrząsnęła główką, uniosła wskazujący palec i dźgnęła go boleśnie w klatkę piersiową. – Tylko ty nie urodziłeś się o czasie. Umrzesz, jeśli nie zrobisz tego teraz!

Niemal stracił przytomność. Zdawało mu się, że odpływa gdzieś daleko. Potężna, kojąca obecność. Tak blisko. Coś drgnęło w jego wnętrzu. Osłabione oraz wygłodzone, pragnęło się obudzić, aby dołączyć do reszty rodzeństwa. Otworzyło oczy i chciało widzieć. Paweł otworzył oczy, żeby dać tę możliwość. Przytulił się do wielkiej istoty. Już nie walczył. W krótkiej, piekielnie ważnej chwili zrozumiał.

Nigdy mnie nie słyszałeś. Nie starałeś się słuchać, nawet kiedy do ciebie przyszedłem, poskarżył się cichutki głosik wewnątrz jego umysłu. A przecież jesteśmy jednym.

Przykro mi, bałem się, odpowiedział bezgłośnie. Jesteśmy jednym. Jestem... Kim jestem?

Spojrzał w ogromne, błyszczące oko. Teraz wydawało mu się najpiękniejsze na świecie. W tysiącu światów. W całym szeregu miejsc połączonych ze sobą niczym pokoje wielkiego domu. To Matka. Ostrożnie przekazała mu wiedzę, wyraziste obrazy zapłonęły w umyśle: gdy nadchodzi odpowiedni czas dla potomstwa, zręczne czułki Matki przenikają z „pokoju obok” i przekazują maleństwa wprost do wnętrza embryonów w brzuchach wyselekcjonowanych kobiet z inteligentnych gatunków. Na przykład ludzkich. To niezbędny etap rozwoju. Kilka lat później mali ludzie biegają, piją, jedzą i śpią, przez cały czas nosząc w sobie dojrzewające dzieci Matki. A potem ich organizmy, a także umysły stapiają się, w końcu stając jednym. Poczwaraki dojrzewają i wyłaniają się z nich jego bracia i siostry. Tylko on jeszcze tego nie zrobił. Coś poszło nie tak... Jednak, na szczęście, Matka nie zamierzała spisać go na straty... Przepadło zbyt wiele dzieci w walce z innymi z ich gatunku i straciła wszystkich synów. Musiała go odzyskać. Sprawiała, że zapomniał nieudane narodziny w szpitalu. Nigdy nie zostawiła go samego.

Dziewczynka uśmiechnęła się.

– To nie boli. Nie bardzo.

Patrzył, jak jej ludzki kształt ulega deformacji. Kończyny pęczniają i pękają. Zgubione kawałki tkanki tworzą na podłożu kałuże śluzu, czasem zbrylając się w organiczną galaretę. Nie szkodzi. Zregeneruje się za jakiś czas. Głowa się zapada. Z tułowia wystrzeliwuje mnóstwo kończyn, czulek i szypulek zakończonych fasetowymi oczami. Ciało szybko przybiera właściwy wygląd. Staje się piękne, silne i obłe, złożone z wielu pierścieni. Oczy stworzenia nazywanego dawniej Agnieszką zalśniły zachęcająco.

Trzeba spróbować, zrozumiał. Trzeba iść. W końcu jestem tu tylko gościem z...

...pokoju obok. Ktoś kłął, ktoś inny tłumaczył coś wyjątkowo podekscytowanym głosem. Małecki nie chciał tam wchodzić.

Zza ściany dobiegł entuzjastyczny okrzyk: „Ha! No i macie dowód na Obcych!”. Kowalczyk. Cały on. Komisarz pokręcił głową, czując dziwną mieszaninę złości, podziwu i politowania. Aspirant Dariusz Kowalczyk był znakomitym fachowcem... I kompletnym świrem. Nikt nie ważył się kwestionować umiejętności tego chudego blondyna o wiecznie rozbieganym spojrzeniu i nerwowym uśmiechu, który jednak nawet świętego mógł rozdrażnić swymi fanaberiami. Nie ma to jak miłośnik seriali o duchach i kosmitach na Stołecznej. Cierpliwie słuchano jego rewelacji o poltergeistach, przybyszach i innych bzdurach, ponieważ lepszemu technikowi kryminalistyki ze świecą szukać.

Ekipa techniczna wyszła z pomieszczenia. Posterunkowi odetchnęli z ulgą.

– Możemy już iść z tej przeklętej kotłowni? – zapytał żałośnie „Zuzka”.

Konar zerknął nań drwiąco, choć to jego bardziej mldliło na widok rozwleczonych po całej podłodze paskudztw.

Cóż, w końcu wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, pomyślał zmęczony Małecki. Dobrze, że nie wdepnął w tamtą breję. Nie dość, że technicy mieliby słuszne pretensje, to jeszcze musiałby chyba wyrzucić swoje ulubione buty.

– Niesamowite, wprost niesamowite – wyszeptał aspirant Kowalczyk do komisarza. – To z całą pewnością ludzkie szczątki, ale jak mogły znaleźć się w takim stanie... Niesamowite! Mam już nawet pewną teorię...

Małecki pokiwał głową, usiłując ukryć skwaszony wyraz twarzy. Myślał teraz o tym, co powinno znaleźć się w raporcie. Punkt po punkcie. Jego pedantyczna natura nie tolerowała bałaganu ani przeszkadzania.

Kilka dni później znalazło się więcej powodów do irytacji. Nadeszły wyniki z laboratorium. DNA z całą pewnością należało do Pawła Chrzanowskiego, lecz dodatkowo wykryto ślady innego dzieciaka. Po upływie miesiąca od tegoż niezbyt wygodnego odkrycia gruchnęła kolejna hiobowa wieść. W rezultacie komisarz Małecki doszedł do wniosku, że udusi Kowalczyka. Czy ten wyznawca kosmitów od siedmiu boleści musiał węszyć?

Po grupie krwi i organicznych wydzielinach udało się ustalić, że należały do niejakiej Agnieszki Woźniak – dziewczynki, która zaginęła osiem lat wcześniej. Ostatni raz widziano ją w okolicach tej właśnie pechowej kotłowni. W środku zaś znaleziono niezwykle podobne ślady – breję, choć w dużo mniejszej ilości. Przebadano, udokumentowano, a po jakimś czasie sprawa umarła. Nie było przecież żadnych punktów zaczepienia. Żadnych linii papilarnych czy choćby włosa domniemanego mordercy. Dokumentację na wszelki wypadek starannie ukryto. Komisarz świetnie to rozumiał – jeszcze tego brakowało, żeby coś przeciekło do gazet... Policja i bez dziennikarskich psów-posokowców ma dość problemów. Aspirant dysponował jednak jakimś piekielnym szóstym zmysłem i żyłką detektywa... No i miał znajomości. Dość, by zdobyć dane do porównania. I wprowadzić zamęt.

Jak to wszystko, u diabła, wytłumaczyć? Wariat-pedofil? Trzymano dziewczynę przez kilka lat nie wiadomo gdzie, przywieziono z powrotem do kotłowni, akurat napatoczył się Chrzanowski, więc zabito ich oboje? W tajemniczy sposób masakrując ciała? Szaleni naukowcy-sadyści? Kosmici? To wszystko nie miało sensu. Kowalczyk zaczął perorować na temat wielowymiarowości wszechświata, co miałoby tłumaczyć, dlaczego ludzie znikają i pojawiają się wiele lat później. Według niego dziecko mogło zjawić się tam, gdzie akurat stał chłopak, więc doszło do implozji... Małecki nie zdzierzył i uciekł z pokoju. Miał, do ciężkiej cholery, własne problemy i zero nastroju na wysłuchiwanie bajek. Córka zaczęła bać się ciemności i bredzić coś o kolorowych światełkach...

Opanował go ponury nastrój. Oparł czoło o chłodną szybę. Tęsknił do zimy. Do śniegu, który choć przez chwilę będzie czysty, który nada sterylny wygląd gałęziom. Nie cierpiał niejasności, błota i widoku nagich, ograbionych z liści drzew.